

A watercolor-style movie poster for 'Córka cichociemnego'. In the foreground, a young man and woman walk away from the viewer, holding hands. The woman has long dark hair and wears a floral shirt and jeans. The man has blonde hair and wears a leather jacket and jeans. They are walking on a path that leads towards a bright, hazy horizon. In the background, there is a tropical landscape with palm trees and a small hut on the left, and a city with a prominent tower on the right. Two helicopters are flying in the sky above the tropical area. The overall mood is nostalgic and dramatic.

Katarzyna  
Nowosielska

# Córka cichociemnego

# CÓRKA CICHOCIEMNEGO

Copyright © by Katarzyna Nowosielska  
*All rights reserved*

Redakcja: Anna Skóra  
Korekta: Agnieszka Mąka  
Skład i grafika: Studio Graficzne Maribook

Ilustracja na okładce:  
Studio Graficzne Maribook

<https://kasianowosielska.pl>  
<https://www.facebook.com/kasia.nowosielsk/>  
[https://www.instagram.com/kasia\\_nowosielska/](https://www.instagram.com/kasia_nowosielska/)

Wydanie I

ISBN  
druk: 978-83-981022-0-9  
e-book: 978-83-981022-1-6

Katarzyna Nowosielska

CÓRKA  
CICHOCIEMNEGO



**CHINY**

○ Hanoi

**LAOS**

**HAJNAN**

○ Khe Sanh

○ Đà Nẵng

**TAJLANDIA**

**KAMBODŻA**

**WIETNAM**

○ Sajgon (Ho Chi Minh)

**Morze Południowochińskie**

Tę książkę dedykuję wszystkim,  
którzy walczyli.

Napisałam ją dla wszystkich, którzy przeżyli.

Dla wszystkich, którzy wciąż walczą  
– codziennie, w ciszy – z demonami,  
z lękami, których nikt nie widzi.

Upadają, podnoszą się i walczą.

Pamiętaj! Nigdy się nie poddawaj!

Jesteś bohaterem dnia codziennego.

I zasługujesz na świat.



# CZEŚĆ I





# Rozdział 1



## Duchy, które nie mówią

NOWY JORK, LUTY 1966 R.

DESZCZ LAŁ SIĘ z nieba jak z dziurawego, metalowego dzbanu. Był ciężki, nieustępliwy, przeszywał powietrze zimnymi strumieniami. Niby powinny panować zimowe mrozy, ale Nowym Jorkiem zawładnęła jakby jesienna aura. Te spadające z nieba krople wody stanowiły symbol wszystkich porażek, które Klara zebrała w ostatnich tygodniach. Każda struga deszczu zdawała się wytykać jej kolejne niepowodzenie. Krople uderzały rytmicznie o spękany asfalt ulic.

Ona jednak była głucha na ten stukot. Szła przed siebie, zamknięta w świecie własnych myśli, jakby oddzielona od miasta grubą, niewidzialną szybą. Wciąż analizowała każdy szczegół rozmowy zakończonej trzydzieści minut temu w pokoju numer trzysta dwanaście. Widziała gabinet w nowojorskim wieżowcu i siedzącego w nim Richarda Townsenda – redaktora po pięćdziesiątce, łysiego, z wąsami jak Clark Gable i oczami twardymi jak krzemień.

– Panna... – spojrzał na kartkę i spauzował na moment, chcąc dobrze odczytać jej nazwisko – Lesnie... Lesniewski. Niech mi pani powie: czemu młoda kobieta chce zostać dziennikarką, reporterką?

Klara siedziała na krześle. Wyprostowała się, wyteżyła pierś. To pytanie znała na pamięć.

– Ponieważ chce wykonywać zawód, który jest ciekawy i daje sens, misję do spełnienia. Co więcej... chciałabym być reporterką piszącą o polityce, o wojnie...

– To dość ryzykowne zajęcie dla kobiety. Nie wolałaby pani zajmować się modą? – Obrzucił ją czujnym wzrokiem.

Klara ściągnęła rąbek spódnicy za kolano. Niełatwo jej było znaleźć w sklepie dłuższą, przy wszechobecnej modzie na mini. Chciała jednak wyglądać profesjonalnie na tej rozmowie. Dlatego włożyła także niebieską koszulę i zapięła ją pod samą szyję.

– Wojna dotyczy wszystkich, panie Townsend – odezwała się po chwili. – Nie tylko mężczyzn, którzy idą walczyć, ale także ich matek, dziewczyn, żon, siostr, które pozostają w domach. One właśnie tracą synów, braci, mężów. Ci, owszem, poświęcają się, walcząc z komunistami, ale bycie żoną wojskowego wiąże się z jeszcze większymi wyrzeczeniami.

– A skądże pani to wie?

– Z rodzinnych opowiadań. Jestem córką polskich imigrantów – odparła z godnością. – Wiem, co Sowieci uczynili Polsce.

– To taki mały kraj gdzieś w środkowej Europie. Niestety ma pecha, że leży przy silniejszej Rosji sowieckiej.

– Albo przez to, że sprzedano go po wojnie – mruknęła pod nosem Klara.

– Co pani powiedziała?

– Nic takiego. – Postanowiła się pohamować w wyrażeniu swojej opinii. Bardzo zależało jej na tej pracy.

Townsend wstał i podszedł do okna.

– Jest pani antykomunistką, jak miniemam... Ale wie pani, panno Lesniewski, że większość naszych czytelników

jest przeciwko tej wojnie? Że młodzi ludzie palą karty powołania i maszerują ulicami z transparentami „Chcemy miłości, a nie wojny”?

– Wiem. I uważam, że się mylą.

– Dlaczego?

Klara milczała przez chwilę.

– Bo czasami trzeba walczyć – szepnęła wreszcie. – Czasami nie ma wyboru.

Townsend odwrócił się i spojrzał na nią.

– Jest pani za młoda, dopiero co skończyła pani koledż. Jeszcze mało pani wie o świecie... Przykro mi, panno Lesniewski, ale nasz dział polityczny...

Szum krwi w uszach Klary zagłuszył słowa redaktora. Znów odmowa. Wstała mechanicznie, podała rękę, wymamrotała jakieś podziękowanie i znalazła się na ulicy, nie pamiętając, jak wyszła z budynku.

Szła teraz ulicami Nowego Jorku. Padało coraz mocniej. Odruchowo rozpostarła parasol, lecz rozszały wiatr wygiął go do tyłu. Jej czarna grzywka, ciężka od deszczu, przyklejała się jak zasłona do mokrego czoła. Zielony prochowiec przesiąkł chłodem, jakby wchłaniał całe jej rozgoryczenie. W jej wnętrzu gotowała się złość, tak pulsująca, rozżarzona, jakby miała rozbić beton miasta w drobny pył.

„Nie masz miejsca w newsroomie” – szeptał jej umysł słowami, które jeszcze wczoraj dotarły wraz z odmownym listem. „Za mało doświadczenia”, „Nie pasujesz do profilu” – te frazy powtarzały się jak zaklęcie, które wypalało w niej powietrze i odbierało oddech. Przed oczami stale przewijały się twarze redaktorów – pełne sprzeczności i niepodważalnej prawdy. Sugerowali, że jej światem są lekkie tematy: plotki

o skandalach, romansach i błyskotliwe, choć płytkie newsy. Ale Klara widziała siebie zupełnie inaczej – jako głos w chaosie, reporterkę szukającą prawdy, a nie królową brukowców.

„Ciesz się, że żyjesz w samym sercu artystycznego Nowego Jorku” – mówiła jej Beth, przyjaciółka z liceum. „Zajmij się sprawami lekkimi, zamiast drenować umysł”. Ale Klara nie potrafiła wziąć tych słów do serca.

Zatrzymała się na rogu czterdziestej drugiej i ósmej ulicy. Przez krople deszczu widziała rozmyte sylwetki ludzi migających jak cienie w chaosie metropolii, złote taksówki co rusz trąbiły, sunąc po ulicach jak dzikie bestie przemyskające w mroku. Spojrzała w górę, na szare wieżowce – gargulce nowoczesności, które chroniły tajemnice tego miasta jak gigantyczni stróże, jednocześnie przytłaczając ją swoją ogromną obecnością.

„Świat jest bezkresny, a ja jestem blahym pyłkiem, którego los nigdy nie zakręci na swej osi” – myślała, a zimny kamień rozczarowania gniótł ją w piersi.

Nowy Jork, obiecujący wielkie możliwości, wciągnął ją jak wir. Na początku kusiły ją blask, obietnice legendarnych karier, spotkań z wielkimi postaciami. Teraz czuła się jak zużyta maszyna, której serce rdzewieje w codziennej szarości, jakby miasto wyssało z niej wszystko, co najcenniejsze.

„Dziennikarstwo nie jest dla kobiety” – słowa jej ojca niczym echo odbijały się od ścian umysłu. „Pomyśl o pracy spokojniejszej, stabilnej”. Lecz Klara miała dość spokoju. Pragnęła burzy, zmian, przygody – ognia w żyłach, który rozpałałby ją od środka. Miała w sobie nienasyconą żądzę przygód.

Pracowała co prawda w biurze koledżu przy sortowaniu papierów, ale każdego dnia czuła, jak coś ściska jej gar-

dło i gasi w niej życie. Monotonia uwierała ją coraz mocniej. Myślała zatem, że złapała Pana Boga za nogi, gdy przyjęto ją do redakcji uczelnianej gazety. Tam zdobywała pierwsze dziennikarskie szlify.

Gdy poczuła, jak wielką satysfakcję dają jej pisanie o problemach studentów, rozmowy z nimi, przeprowadzanie wywiadów, tym bardziej nie zamierzała zgodzić się na los cichej żony, czekającej na męża z obiadem, przygarbionej pod ciężarem niespełnionych marzeń.

A byli tacy, którzy widzieli ją w tej roli. Szła więc dalej ulicą, a tysiące myśli buzowały w jej głowie jak rozszalałe roje os. Złość mieszała się z rozczarowaniem, poczuciem odrzucenia i bezsensu. Nie zauważyła nawet, że deszcz ustał, a parasol w jej dłoni przesunął się niepostrzeżenie tak, że zasłaniał jej widok.

Zeszła z krawężnika prosto na jezdnię, nie sprawdzając, czy coś nadjeżdża. Nagły, ostry pisk opon wyrwał ją z odrętwienia. Czarny Chevrolet, który z impetem wyjechał zza rogu bocznej uliczki, zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od jej kolan. Kierowca wyskoczył w furii.

– Co ty wyprawiasz, głupia dziewczyno? Pod koła mi się pchasz? Chcesz, żebym cię zabił, idiotko?

Klara stała jak wryta. Nagle ktoś chwycił ją za ramię.

– Co pani robi? Życie pani niemiłe? – zapytał spokojnym głosem młody mężczyzna. Nie otrzymał od niej odpowiedzi, więc zwrócił się do kierowcy: – Proszę, odjechać. Ta pani źle się czuje.

Ten wykrzykiwał jeszcze coś pod nosem, ale w końcu wsiadł za kierownicę ruszył przed siebie. Nieznajomy mężczyzna zaś objął Klarę delikatnie w pasie i sprowadził z jezdni.

Dopiero wtedy dziewczyna uświadomiła sobie, że o włos uniknęła śmierci.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak... chyba tak. Dziękuję – wyszeptała.

– Chyba? Pada deszcz, widoczność jest ograniczona. Trzeba uważać na ulicy.

– Nie musi mnie pan pouczać. Dziękuję za troskę. – Odwróciła się, by odejść.

– Proszę poczekać! Jest zimno, pani jest przemoczona. Zapraszam na kawę, niedaleko jest uroczą restauracją.

Klara spojrzała na niego z dystansem, ale i z zaciekawieniem.

– Nie umawiam się z nieznajomymi.

– Osoba, która być może uratowała pani życie, nie jest już nieznajomą. Jest pani moją dłużniczką – Uśmiechnął się figlarnie, ukazując białe zęby.

– A więc będzie mnie pan teraz szantażował? – zapytała, a w jej głosie zabrzmiał cień rozbawienia.

– To nie szantaż, to zaproszenie.

Kiwnęła głową. Postanowiła pozwolić sobie na chwilę słodczy i ciepła. Nie miała już siły spierać się dziś z nikim. Poszła za mężczyzną, nieco spięta, ale z tłącą się w niej ciekawością, dokąd ją zaprowadzi.

Weszli do niewielkiej, przytulnej restauracji, której neony rzucały pomarańczowy blask na wilgotny chodnik. Zajęli wolny stolik przy oknie. Ciepłe światło lampionów łagodnie oświetlało przytulne wnętrza. Drewniane stoły, ceglana ściana i delikatna muzyka jazzowa tworzyły atmosferę, w której czas zwalniał, a zgiełk miasta zdawał się odległy. Zapach

świeżo mielonej kawy mieszał się z aromatem smażonych gofrów i przypraw.

Za szybą widać było mżyście rozmytą ulicę, a światła miasta migotały niczym odwrócone gwiazdy.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Chyba trochę przesadziłam dziś z myśleniem...

Mężczyzna spojrzał na nią bez słów, ale w jego oczach prześlizgnął się cień. Miał rysy ostre jak nóż. Wydatną szczękę podkreślały krótko przycięte jasne włosy. Przez orli nos sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie i stanowczego, ale niebieskoszare, duże oczy, przypominające niezapominajki, okolone wachlarzem jasnych rzęs, wzbudzały zaufanie.

Obserwowała go, gdy zamawiał dwie kawy. Był barczysty i pewny siebie, a jego dłonie miały twardość kogoś, kto zna ciężar świata.

– Zje pani ciasto z jabłkami czy może bezę? – zapytał.

– Dziś mam ochotę na coś bardzo słodkiego. Poproszę zatem o tę drugą opcję.

Złożył zamówienie, kelnerka odeszła, a on patrzył na nią badawczo. Nagle zerwał się z krzesła.

– Przepraszam, nawet się pani nie przedstawiłem. To dość nieuprzejme z mojej strony. Nazywam się Marc... Marc Henderson. – Podał jej rękę, kłaniając się.

– Klara. Klara Lesniewski. – Odwzajemniła uścisk, czując, że mężczyzna wcale nie spieszy się z puszczeniem jej dłoni.

– Lesniewski – próbował powtórzyć najlepiej, jak potrafił, choć nie przychodziło mu to łatwo.

– Mam polskie korzenie.

- Czyli pochodzisz z tego kraju za żelazną kurtyną?
- Tak jakby. Nie pamiętam go. Moi rodzice emigrowali stamtąd, uciekli w czasie wojny. Byłam malutka.
- Co się stało, że o mały włos nie zginęłaś dziś pod kołami rozpędzonego auta?
- Myślę, że zbyt dramatycznie przedstawiasz tę sytuację. Byłam zamyślona bo... – urwała.
- Bo...? – Patrzył na nią badawczo.
- Klara nie miała dziś siły już niczego udawać. Mówić, że wszystko jest w porządku, gdy w rzeczywistości nie było.
- Bo dostałam kolejną odmowę, nie chcę mnie przyjąć tam, gdzie chciałabym pracować. Do działu politycznego gazety.
- Czyli chcesz być dziennikarką?
- Kelnerka akurat podała kawy i ciastka. Klara upiła łyk rozgrzewającego napoju. Poczowała błogość. Przymknęła na moment oczy.
- Tak, marzę o dziennikarstwie... ale nie o takim błahym. Chcę pisać o rzeczach, które się liczą. Polityka, protesty, prawda... Ale wszędzie drzwi są zamknięte przed kobietą. Studiowałam dziennikarstwo. Myślałam, że to wszystko będzie inaczej wyglądać.
- Nie tak łatwo się przebić. W tej grze trzeba mieć żelazne nerwy.
- Sporo ci już o sobie opowiedziałam. Dopiero cię poznałam, a tyle już o mnie wiesz. A ty czym się zajmujesz?
- Zawodowo jestem trochę kimś, kto... wie, co to znaczy ryzykować życie.
- Klara spojrzała na niego z zainteresowaniem.
- To znaczy?
- Uśmiechnął się zawadiacko.

– Powiedzmy, że znam smak morskiej bryzy i kurz bitewnych pól. Ale nie jestem tu, żeby się chwalić. Pracuję w firmie transportowej. Nic spektakularnego.

– Jesteś bardzo tajemniczy.

Nim zdołała powiedzieć więcej, usłyszeli hałasy zza okna.

Przestało już padać. Grupa kilkudziesięciu osób przetaczała się po chodniku obok kawiarni z transparentami: „Stop wojnie w Wietnamie”, „Stop przemocy”.

Klara i Marc patrzyli na maszerujących ludzi, skandujących hasła pokojowe. Demonstracja nie była tak liczna, jak można było czasem widzieć w programach informacyjnych, jednak okrzyki były na tyle głośne, by przyciągać wzrok gości w restauracjach i pracowników biur.

– Niepojęta jest dla mnie ich postawa. Kraj walczy z komunistyczną zarazą, a oni protestują...

– Czyli nie jesteś pacyfistką? – Marc spojrzał na nią badawczo.

– Nie w tym wypadku...

– Czyli w innych jesteś?

– Jesteś strasznie ciekawy. A ty jesteś pacyfistą?

– Sama przyznałaś, że chcesz się parać dziennikarstwem politycznym. To dość... – szukał przez chwilę odpowiedniego słowa – odważne jak na młodą dziewczynę. Domyślam się więc, że masz wyrobione zdanie na temat polityki międzynarodowej Stanów.

– Słuchaj. – Przysunęła się lekko do niego i spojrzała mu w oczy. – Moi przodkowie żyli w kraju, do którego wtargnęli komuniści i zagarnęli go. Rodzice musieli przez nich uciekać z ojczyzny. Uważam, że trzeba walczyć z tym zbrodniczym systemem wszelkimi możliwymi sposobami. – Zatrzymała

się na moment w swoich wywodach. – Ale ty nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– Może ta wojna za dużo nas kosztuje... Nie wiem... W każdym razie byłabyś rasową dziennikarką.

– Nie zdajesz sobie sprawy z zagrożenia. Niestety na razie nie mogę się dostać do tego zawodu. A nie widzę się w żadnym innym. Może to naiwne i idealistyczne, ale wierzę w prawdę. Chcę ją nagłaśnić.

– Gdybym był redaktorem naczelnym, od razu bym cię przyjął do pracy.

– Szkoda, że inni tak nie myślą.

Marc spojrział na zegarek i zerwał się na równe nogi.

– Coś się stało?

– Muszę już iść. Obowiązki wzywają. Mam jednak nadzieję, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie.

– Czyżby? Oczekujesz kolejnych rozmów z bezrobotną dziennikarką?

– Podaj mi numer telefonu. – Uśmiechnął się szelmowsko, pocałował jej dłoń na pożegnanie i popatrzył jej w oczy.

Zrobiła, o co prosił. Choć sama była zaskoczona swoim zachowaniem, bo zazwyczaj nie spoufalala się tak szybko z mężczyznami.

# Rozdział 2



## Napięcie w ciele

WARSZAWA, LUTY 1942 R.

NAD WARSZAWĄ ROZCIĄGNAŁ SIĘ szary welon wczesnej wiosny, ciężki od zapachu wilgotnej ziemi i tłęcego się pod stopami strachu. Skrzypiące na wietrze, gołe jeszcze gałęzie drżały niczym nerwy miasta, które tętniło podziemiem pełnym cichej czujności.

Aniela Starska stała w półmroku swojej skromnej pracowni przy ulicy Natolińskiej – sanktuarium, które ofiarował jej ojciec jako dar dla duszy spragnionej piękna. Mieszkała z rodzicami piętro wyżej, a tutaj, w tym pomieszczeniu pachnącym starymi woluminami i terpentynami, znajdowała ukojenie. Schodziła tu kilka razy dziennie, jakby odbywała pielgrzymkę do świętego miejsca, gdzie skrzypienie desek w drewnianej podłodze, pamiętającej jeszcze czasy caratu, brzmiało jak kołysanka dla jej niespokojnej duszy.

Była wdzięczna losowi, że może się edukować. Choć wojna brutalnie przerwała jej plany studiowania architektury na Politechnice Warszawskiej, tajne nauczanie dawało jej namiastkę normalności. Był to kruchy most nad przepaścią codziennej grozy. Aniela uciekała w świat wyobraźni przed wojną, która spętała jej kraj jak żelazna obręcz. Ilekroć zza okna dobiegały krzyki w języku niemieckim i głuchy tupot wojskowych butów, chowała się w swej pracowni jak w konie utkany ze spokoju i nostalgii.

Studiowała albumy ze zdjęciami najpiękniejszych budynków świata – Wieży Eiffla, Katedry Notre Dame, Bazyliki Świętego Piotra, meczetu w Cordobie, SAGRADY Familii w Barcelonie. Marzenia podsycił w niej ojciec, znany warszawski architekt, który projektował przedwojenne wille stolicy. Zabierał czasem małą Anielę nad Jezioro Czerniakowskie, by pokazać jej budynki swojego autorstwa.

„Popatrz, córuniu” – zwykł mawiać. „To są dzieła ludzkiego umysłu i ludzkich rąk. Ty też możesz w przyszłości takie, a nawet jeszcze wznioślejsze, projektować”.

Profesor Starski, choć był już starszym mężczyzną, ożywał, gdy opowiadał o architekturze. Aniela pojawiła się w jego życiu późno. Gdy czterdziestoletnia pani Starska oznajmiła dziesięć lat starszemu mężowi, że jest przy nadziei, jej mąż nie mógł w to uwierzyć. Czuł się jak biblijny Abraham, któremu Sara wyjawiała, że jest w stanie błogosławionym. Aniela domyślała się problemów rodziców z poczęciem dziecka, ale nigdy nie pytała. O tym się nie rozmawiało.

Dziś cieszyła się, że oboje wciąż żyją. Że ojciec, emerytowany profesor Politechniki, uniknął aresztowania i śmierci w Palmirach czy obozach. Na razie marzenia o podróżowaniu musiała odłożyć, ale wierzyła, że ta okropna wojna kiedyś się skończy. Ufała, że przyczyni się do tego działalność, w którą się zaangażowała.

Z jej powodu właśnie nie mogła dziś uciekać myślami w dalekie krainy. Serce tańczyło w piersi w dziwnym rytmie niepokoju pomieszanego z ekscytacją. Ewa Peres, dowodząca Referatem Ewakuacji Personalnej, przysłała jej rankiem wiadomość: „To dziś”. Tej nocy miał się odbyć zrzut cichociemnych. Każdy z nich miał trafić pod opiekę

jakiejś ciotki, a Aniela miała być jedną z łączniczek podczas tej akcji.

Czuła napięcie w piersi, choć przygotowywała się od dawna do tego zadania. W uścisku mroku widziała oczyma wyobraźni cienie podziemnej Warszawy, miasta, które nie poddawało się, choć broczyło krwią i łzami. Aniela przed dwoma laty z determinacją stanęła u progu tej opowieści, gotowa stać się częścią ukrytej historii walczącego narodu.

Nienawidziła Niemców z siłą, która paliła ją od środka. Oskarżała ich o przerwanie młodości, zabójstwa znajomych, łapanki, morderstwa profesorów z Politechniki. Nie mogła czekać z założonymi rękami, aż wojna sama się skończy. Zaangażowanie w konspirację dawało jej poczucie sprawczości, było formą upustu złości wobec okupanta.

Ukrywała swoją działalność przed rodzicami. Dla nich miała pozostać ucieleśnieniem zwyczajnego życia, studentką marzącą o czystych liniach projektów i nowoczesnych budowlach. Nie chciała niepokoić ojca, który kilka lat temu przeżył stan przedzawałowy. Matka od dłuższego czasu trwała w marazmie. Załamała się, gdy jej siostra z rodziną trafiła do Oświęcimia, a młodszego brata schwytano podczas łapanki i wywieziono na roboty do Trzeciej Rzeszy.

Chronienie rodziców przed prawdą o jej zaangażowaniu w konspirację wydawało się właściwe. Mówiła im, że idzie na tajne zajęcia, a tymczasem udawała się do punktu, gdzie fałszowano dokumenty, tworząc kenkarty dla uciekinierów z getta. Gdy wykonywała przydzielone jej czynności, nieziemsko bała się aresztowania, Pawiaka, tortur. Lękała się, że nie wytrzyma bólu, że zdradzi innych konspiratorów. Ilekroć wzbierał w niej strach, przypominała sobie, co Niem-

cy zrobili jej rodzinie, jak w trzydziestym dziewiątym roku pod bombami Luftwaffe zginęli przyjaciele. I wtedy rodziła się siła – nienawiść do wroga zagłuszająca lęk, spychająca go w najgłębsze zakamarki duszy.

Dziś wszystko dookoła zdawało się szeptać napięciem, od wilgotnych, ciemnych bram kamienicy, przez szorstki bruk ulic, po ciężkie powietrze niosące zapach rozkładu i niepokoju. Warszawa, mimo wszystkich ran, nadal żyła, choć naczeczona bólem, ale pełna nieugiętej siły.

Aniela wierzyła, że takie akcje pomocy z Londynu, jaka miała się wydarzyć tej nocy, wzmocnią siły walczących z nazistowską pożogą.

Godziny ciągnęły się jak lepka smoła. Dziewczyna nawet nie myślała o śnie, gdyż każdy nerw w jej ciele był naprężony jak struna. Najmniejszy dźwięk za oknem mógł oznaczać nadejście wyczekiwanej chwili. Usiadła w fotelu, z tomem o gotyckich katedrach na kolanach, ale litery rozmywały jej się przed oczami. Myśli krążyły wokół tego, co miało nastąpić: cichociemny spadający z nieba jak anioł wojny, niosący ze sobą nadzieję ukrytą w skórzanej torbie.

Zegar na kominku wybijał kolejne godziny – jedenastą, wpół do dwunastej, dwunastą. Każde uderzenie wskazówek odbijało się echem w jej przepełnionych emocjami piersiach. Na zewnątrz panowała cisza przerywana tylko odległym warkotem niemieckiego patrolu, który przemykał ulicami jak drapieżnik w poszukiwaniu ofiary.

Nagle, około wpół do pierwszej, rozległo się ciche pukanie do drzwi pracowni. Nie było to umówione hasło – trzy krótkie, pauza, dwa długie – ale jedynie delikatne stukanie, jakby ktoś dotykał drewna opuszkami palców.

Aniela zamarła. Serce podeszło jej do gardła. Czy to swoi, czy może nieprzyjacieli? Czy możliwe, że ktoś ją śledził? Czy Gestapo wie o tym, co ma się wydarzyć dzisiejszej nocy? Kolejne delikatne pukanie, tym razem w rytmie, który rozpoznała. Sygnał awaryjny. Podeszła ostrożnie do drzwi, nasłuchując kroków na klatce schodowej. Cisza. Tylko jej własny oddech brzmiał jak burza.

– Kto tam? – wyszeptwała, przyciskając usta do szpary w drzwiach.

– Aniela, to ja, Kruk. Otwórz szybko.

Aniela odetchnęła głęboko. Kruk był jednym z łączników z jej grupy. Młody student medycyny, który przed wojną marzył o zostaniu chirurgiem, teraz operował Warszawę, wycinając z niej niemieckie nowotwory.

Otworzyła drzwi. Stefan wślizgnął się do środka, oddychając ciężko, jakby przebiegł długą drogę. W słabym świetle świecy jego twarz wyglądała na zmęczoną i pełną niepokoju.

– Coś się zmieniło – powiedział bez wstępów. – Nie będzie zrzutu w ustalonym miejscu. Szwabry aresztowały partyzantów, którzy tam czekali.

Aniela otworzyła szeroko oczy.

– Dlaczego? Co się stało?

Kruk przetarł czoło dłonią, zostawiając na nim smugę brudu.

– Niemcy wzmocnili patrole. Za dużo ich jest. Być może ktoś im doniósł, co się szykuje. Zdecydowano, że bezpieczniej będzie, jeśli ptaszki spadną gdzie indziej.

– Gdzie?

– To już tajna informacja. Jest jeszcze coś.

Aniela aż rozchyliła usta w oczekiwaniu na to, czego zaraz się dowie.

– Dwie ciotki wpadły. Nie potrzebujemy cię już w tej akcji jako łączniki. Musisz zostać ciotką dla jednego z naszych.

Aniela otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Ja? Nie wiem, czy się do tego nadaję... To bardzo odpowiedzialna funkcja. I czy ja mam w ogóle warunki... – zaczęła się zastanawiać na głos.

– Przecież twoja pracownia to doskonałe miejsce. – Rozejrzał się po niej. – Masz tu sofę i wygodny fotel.

– Owszem, ojciec zadbał nawet o boczną komórkę z toaletą, abym pochłonięta projektowaniem, nie musiała biegać na pierwsze piętro. Ale to nie jest miejsce na mieszkanie konspiracyjne – broniła się dziewczyna.

– Spokojnie. To tylko na parę dni. Znajdziemy mu inny adres. Czuwaj przez najbliższy czas! – powiedział Kruk, ukłonił się i wyszedł szybko, jakby chciał uniknąć kolejnych pytań dziewczyny.

Ona tymczasem czuła się, jakby spadł na nią grom z jasnego nieba. Musiała się ocknąć i przygotować pracownię, w dodatku tak, aby rodzice tego nie zauważyli. Poza tym miała tylko czekać. Wydawało jej się, że ostatnie lata życia polegają właśnie na oczekiwaniu. A ona chciała coś robić, działać. Wróciła zatem w głąb pracowni i zaczęła robić to, co teraz mogła. Przemeblowywać ją.

# Rozdział 3



## Miasto dymu i ognia

NOWY JORK, MARZEC 1966 R.

NOWY JORK PŁONAŁ. Nie dosłownie, choć dymy z kominów fabryk i spaliny z tysięcy samochodów tworzyły nad miastem szarą mgłę, która zdawała się pochłaniać słońce. Płonął gniewem. Rozpalał się sprzeciwem. Emanował młodością, która krzyczała „nie” wojnie toczącej się po drugiej stronie świata.

Klara Lesniewski stała przy oknie swojego mieszkania na Upper West Side jak strażniczka cudzych snów, patrząc na procesję dusz maszerujących osiemdziesiątą szóstą ulicą w stronę Central Parku – tego zielonego serca miasta, które biło dziś rytmem buntowniczych serc. Ludzkie głosy niosły się przez marcowe powietrze ciężkie jak miód i gorycz, układając się w hipnotyczną mantrę: *Hell no, we won't go! Hell no, we won't go!*

Wczoraj prezydent Johnson ogłosił bombardowanie baz wojskowych w Wietnamie Północnym. Operacja Rolling Thunder – nawet nazwa brzmiała jak apokaliptyczny hymn, jak poezja napisana ogniem na niebie Azji. Dziś całe miasto eksplodowało protestami, jakby każda ulica stała się żyłą w tym gigantycznym, rozgorączkowanym organizmie.

Klara ścisnęła w dłoni kubek z herbatą. Picie brązowego, aromatycznego naparu z odrobiną cytryny było jej ukochanym porannym rytuałem. Tego ranka herbata była jednak już zimna i gorzka jak żal. Dziewczyna stała przy oknie od

godziny, obserwując miasto, które przypominało dwa nieprzystające do siebie światy, siłą wtłoczone w jedną ramę. Po jednej stronie byli młodzi ludzie w wojskowych kurtkach lub kwiecistych sukienkach, niosący transparenty jak sztandary nowej religii. Po drugiej dostrzegała milczących przechodniów, którzy wyrażali zdziwienie, niekiedy pogardę wobec protestujących, uważali, że głoszą oni hipisowskie herezje.

A ona? Klara dziwiła się tym protestom, a jednocześnie wywoływały one w jej sercu jakiś dziwy niepokój. W piersi czuła znajomy ucisk – ten sam, który towarzyszył jej od dzieciństwa jak niewidzialny anioł melancholii. Zwłaszcza gdy budziła się z płaczem po snach tkanych z dymu i krzyków w językach, które brzmiały jak pieśni pogrzebowe nieznanym ludów. Jej mama mówiła wtedy: „To tylko koszmary, kochanie. Dzieci mają koszmary”. Ale Klara wiedziała, że to nie były zwykłe koszmary. To był żal odziedziczony jak kolor oczu, strach, którego nigdy nie doświadczyła na własnej skórze, tęsknota za kimś, kto istniał tylko w jej krwi.

Nienawidziła komunizmu, był dla niej złem wcielonym. Tego jednego była pewna. Wyssała tę nienawiść z mlekiem matki. Jej rodzice niechętnie opowiadali o przeszłości, ale czasem w ich wypowiedziach wyczuwała głęboki wstręt do czerwonej ideologii. Czasem się zastanawiała, czy w takim razie powinna błogosławić wysyłanie amerykańskich chłopców na śmierć w dżungli azjatyckiej.

Dzwonek telefonu przerwał jej rozmyślenia.

– Klara? Tu Marc.

Jego głos brzmiał inaczej niż podczas ich spotkania. Bardziej oficjalnie. Jakby coś się zmieniło.

– Myślałam, że już nie zadzwonisz – powiedziała z nieskrywanym zadowoleniem.

– Przepraszam. Miałem... sprawy służbowe.

Służbowe. To słowo zawisło między nimi jak niewidzialna bariera.

– Spotkamy się jutro wieczorem? Dasz się gdzieś zaprosić?

– Oczywiście. Gdzie?

– Riverside Park. Przy pomniku żołnierzy. O ósmej wieczorem.

Po rozłączeniu Klara długo patrzyła na słuchawkę. Pomnik żołnierzy. Czy to przypadek?

Popołudnie spędziła w redakcji „Village Voice”, małego lewicowego tygodnika, który był jej ostatnią nadzieją na pracę dziennikarską. Redaktor naczelny, Bob Dylan (nie ten słynny, jak żartował), był młodym mężczyzną w okularach i koszuli w kratę, który wyglądał bardziej jak student niż szef gazety.

– Panno Lesniewski – powiedział, przeglądając jej portfolio – ma pani talent. To widać. Ale nasze stanowisko wobec wojny...

– Wiem – przerwała mu Klara. Postanowiła blefować.  
– Jestem przeciwno. Wszystkiemu, co oznacza śmierć niewinnych ludzi.

Dylan uniósł brew.

– To ciekawe. W pani podaniu napisała pani, że jest pani antykomunistką popierającą wojnę.

Klara poczuła, jak rumieni się po czubki uszu.

– Ludzie mogą zmienić zdanie – powiedziała niepewnie.

– Mogą. Ale zwykle nie dzieje się to z dnia na dzień. – Dylan zdjął okulary i wytarł je starannie. – Wie pani, co myślę?

Myślę, że pani nie wie, co myśli. I dopóki tego nie odkryje, nie może pani być dobrą dziennikarką.

Słowa ugodziły ją jak policzek. Wyszła z redakcji chwiejnym krokiem, a na ulicy niemal wpadła na grupę studentek z NYU, które naklejały na murach plakaty z napisem „MAKE LOVE, NOT WAR”.

– Przyłącz się do nas! – krzyknęła jedna z nich, dziewczyna o długich blond włosach, ubrana w kwiecistą bluzkę.  
– Idziemy pod ambasadę Wietnamu Południowego!

– Nie – odpowiedziała Klara cicho.

– Dlaczego? Nie obchodzi cię, że giną niewinni ludzie?

– Obchodzi mnie, aż za bardzo. Ale komuniści nimi nie są.

– Nasi chłopcy też tam giną, a powinni być tu z nami i cieszyć się z młodości.

– Co wy tam wiecie. Napaliłyście się marihuany i myślicie, że powstrzymacie wojnę piskiem i krzykiem.

Dziewczyny spojrzały po sobie.

– Paniusia się znalazła! – syknęła jedna z nich, po czym odwróciły się od Klary, aby dokończyć swoją pracę.

Dziewczyna odeszła. Riverside Park o zmierzchu był miejscem, gdzie niebo całowało ziemię przez mgłę. Opary z rzeki Hudson spletały się z dymem z grillów i papierosów, tworząc mleczną zasłonę, która czyniła świat podobnym do akwareli malowanej przez artystę o drżących rękach.

Klara usiadła na ławce przy pomniku i czekała.

Marc przyszedł punktualnie.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, siadając obok niej.

– Nie spóźniłeś się.

– Chcesz się przejść? Chciałbym ci pokazać coś pięknego – zaproponował. Jego głos był ciepły, ale słyszała w nim nutę niepokoju, jakby mężczyzna chciał jej dać coś cennego, zanim będzie za późno.

Poszli najpierw na róg siedemdziesiątej drugiej i Broadwayu, gdzie światło teatrów mieszało się z niespokojnymi cieniami protestujących. Marc wyglądał inaczej niż poprzednio. Miał na sobie jasną koszulę i ciemne spodnie. W jego oczach błyskało coś, czego wcześniej nie dostrzegała. Jakby większy luz.

– Chyba jesteś już zmęczona tym spacerem? – spytał, spoglądając na nią świdrującym wzrokiem.

– Ależ skąd!

– Chodźmy do metra. Chcę ci coś pokazać – szepnęła jej do ucha.

– Dokąd mnie zabierasz?

– To niespodzianka. Ale obiecuję, że ci się spodoba.

Dotarli do stacji, wsiedli w pociąg i pojechali metrem na Brooklyn, w wagonie pełnym robotników wracających ze zmian i młodych ludzi z gitarami. Marc opowiadał jej o książkach. O Hemingwayu w Paryżu, o wojennych korespondentach, którzy pisali historię własnym życiem.

– Czytałeś Ernego Pyle’a? – zapytała.

– Oczywiście. Poległ na Okinawie. Pisał o zwykłych żołnierzach jak nikt inny.

– Chciałabym tak pisać. O ludziach, nie o polityce.

Marc miał w oczach coś, co mogło być podziwem.

– A może polityka to też są ludzie?

The River Café w Brooklyn Heights była miejscem magicznym, małą przystanią światła nad East River. Roztaczał

się stamtąd widok na Manhattan jak na klejnot wystający z czarnej wody. Kelner prowadzący ich do stolika wyglądał jak aktor z czasów prohibicji, a jazz płynący z ukrytych głośników miał w sobie tyle słodczy i melancholii, że powietrze zdawało się gęstnieć od wspomnień.

– Jak znalazłeś to miejsce? – zapytała Klara, patrząc na panoramę miasta.

– Przypadkiem. Szukałem lokalu, w którym można pomyśleć, ale który nie byłby oczywisty, popularny. Dlatego musiał być poza Manhattanem.

Marc zamówił wino, a jego ręka musnęła jej dłoń na stoliku.

– Lubię patrzeć na miasto z daleka. Z bliska wszystko wydaje się zbyt skomplikowane – skomentował po chwili widok.

– A z daleka?

– Z daleka widać, że to wszystko to tylko ludzie. Małe światełka w oknach, małe historie, małe nadzieje.

Rozmawiali o muzyce. Klara kochała Dylana i Baez, on wołał Milesa Davisa i Coltrane'a. Mówili o książkach. Dziewczyna czytała Kerouaca i Ginsberga, a on Dostojewskiego. Poruszyli też temat snów. Ona marzyła w nich o podróżowaniu po świecie z notesem i piórem, on... zawahał się, zanim powiedział, że chce zrobić coś znaczącego.

– Znaczącego w jakim sensie? – zapytała, a wino sprawiło, że jej policzki płonęły.

– Coś, co zostanie. Coś, co będzie miało znaczenie za dziesięć, dwadzieścia lat.

– W biznesie transportowym? – zażartowała.

Marc uśmiechnął się, ale coś przemknęło przez jego twarz.

– Może niekoniecznie.

Gdy Klara z nim rozmawiała, czuła się jak pianistka, która wreszcie znalazła kogoś, kto rozumie jej muzykę. Ale jednocześnie dostrzegała, że chłopak skrywa coś ważnego. W jego wzroku czasami pojawiały się cienie. Momentami bronił się przed patrzeniem jej w oczy.

– Ile masz lat? – zapytała wreszcie.

– Dwadzieścia sześć. A ty?

– Dwadzieścia trzy. Uczyłam się do tej pory. A ty co robiłeś?

– E... pracowałem w rodzinnej firmie. Takie tam... – Spojrzał na kieliszek, przesuwając go.

– A wojna? – zapytała, gdy kelner podał deser. – Co myślisz o tym, co się dzieje w Wietnamie?

Marc odłożył łyżeczkę i patrzył na nią długo.

– Nie wiem, czy Ameryce to potrzebne. Czy nie ponosimy zbyt dużych strat.

– Komunizm się rozprzestrzeni. Jeśli nie powstrzymamy go tam, będziemy musieli powstrzymać go w innych miejscach. Może i do nas komuniści kiedyś zawitają...

– Jesteś antykomunistką. Ale tu tylu młodych ludzi protestuje. Może mają rację.

– Oni po prostu nie chcą iść do wojska, umierać. Zasłaniają się wzniosłymi hasłami, bo tak naprawdę boją się o własną skórę. To jest ich bunt, Marc. Niektórzy muszą się przeciwko czemuś buntować, a pacyfizm świetnie wygląda na transparentach. Taka jest młodość: zawsze szuka powodu do oporu. Z jednej strony to rozumiem, ale z drugiej...

– Z drugiej co? – Spojrzał na nią badawczo. – Mówisz, jakbyś rozumiała to dokładnie.

– Sama przez pewien czas kręciłam się między hipisami, poznałam to środowisko.

– Interesujące... I teraz nie jesteś?

– To chyba była moja forma buntu przeciwko rodzicom. Ojciec mnie strofował całe życie, zabraniał wielu rzeczy. Więc gdy wyrwałam się z domu na studiach, poczułam wolność. Uznałam, że odbiję sobie te lata nakazów wracania wcześniej do domu... – Spojrzała na Manhattan po drugiej stronie.

– Dlaczego odeszłaś od hipisów?

– Właśnie z tych samych powodów, o których ci wcześniej wspomniałam. Moi znajomi na studiach szukali tylko przyjemności, zaczęli zażywać za dużo narkotyków... Poza tym udawali niby takich tolerancyjnych, a za plecami mnie obgadywali. Niektórzy śmiali się z mojego pochodzenia. Nie jest łatwo być córką imigrantów, a ja nią jestem.

– Jak większość społeczeństwa amerykańskiego, którego przodkowie są rozsiani po świecie.

– A twoja rodzina skąd pochodzi?

– Dziadek był Irlandczykiem, a babcia Angielką. Też emigrowali do Ameryki.

– Przynajmniej nie musieli uczyć się języka. Moi rodzice musieli bardzo ciężko pracować, aby móc wysłać mnie na studia. Choć nie podobał im się mój wybór kierunku, to jednak mnie wspierali. Mam teraz wyrzuty sumienia, że może ich zawiodłam, zadając się z hipisami.

– Nie masz się czego wstydzić. Pewnie nie poznałaś całego ruchu hipisowskiego.

– A ty go znasz?

– Nie, ale hasła, które głoszą wobec wojny w Wietnamie, mają sens. Oni też wierzą w swoje idee.

– W jakie idee? – Klara pochyliła się nad stolikiem. – W pokój? W miłość? To piękne ideały. Ale co zrobisz, gdy komuniści przyjdą do ich domów?

– Pytanie, czy sięgną tak daleko.

Ucichli oboje i zaczęli patrzeć w dal. Między nimi nagle wyrósł mur z niewypowiedzianych słów. W oddali Manhattan migał jak gwiazda, która nie może zdecydować, czy chce zgasnąć.

– Marc – powiedziała wreszcie – czasami trzeba walczyć. Nawet jeśli nie chcesz. Nawet jeśli to oznacza...

– Aż się dziwię, że jako kobieta mówisz coś takiego.

– Wyssałam odrazę do komunizmu z mlekiem matki. To zagłada dla świata.

– A zatem w imię walki z nimi gdzieś daleko my, Amerykanie, mamy poświęcić spokój i nie wiadomo co jeszcze?

– To jest dość wysoka cena. Ale może warto...

Znów zapadło milczenie

– Chodź. – Wstał nagle. – Chcę ci pokazać jeszcze jedną rzecz.

Promenada Brooklyn Heights o północy była miejscem dla zakochanych i poetów. Marc zaprowadził ją na najdalszy kraniec, gdzie East River szumiała w dole jak rzeka czasu, a światła Manhattanu malowały na wodzie impresjonistyczne obrazy. Usiedli na ławce, a on zdjął marynarkę i okrył nią jej ramiona.

– Jest pięknie – szepnęła.

– Myślisz, że będzie zawsze? – zapytał.

– Co? Ten widok?

– Ten świat. Ta wolność patrzenia na miasto i myślenia, co się chce. Mówienia, co się czuje.

Klara odwróciła się do niego. W świetle latarni widziała, że jego twarz jest poważna, niemal smutna.

– Dlaczego miałyby się to zmienić?

Marc milczał długo, patrząc na wodę.

– Może dla niektórych się zmieni, a dla innych nie... Może lepiej zachować status quo, zamiast walczyć z odległym wrogiem?

– Skąd ty możesz to wiedzieć? Moi rodzice poczuli komunizm na własnej skórze. Ale ty? Chłopiec wychowany w bogatej i dostatniej Ameryce... Nie wiesz, czym jest wojna, głód, bieda.

– Skąd pewność, w jakich warunkach się wychowałem? Oceniasz mnie zbyt pochopnie, panno Lesniewski. – Spojrzał na nią, uśmiechając się nonszalancko. – Czy nie wylewasz na mnie jakichś swoich żalów, frustracji, że nie możesz znaleźć pracy tam, gdzie byś chciała?

Klara wbiła wzrok w swoje buty. Ten niebieskooki mężczyzna, którego ledwo co poznała, przejrzał ją. Tak. Nosiła w sobie jakąś złość o to, że nie może dostać tego, czego pragnie. Zganiła się za to w myślach, ale postanowiła nie przyznawać się do swoich słabości. Woląa odbić piłeczkę.

– No to opowiedz mi coś o sobie. Mama uczyła mnie, aby do nieznajomych jednak mieć dystans.

– Nadal jestem dla ciebie nieznajomym?

– Owszem, dopóki nie będę wiedziała o tobie więcej. Opowiedz mi coś o prowadzeniu biznesu transportowego. Zapewne dużo podróżujesz albo zarządzasz kierowcami.

– Tak... podróżuję – powiedział z lekkim wahaniem w głosie. – Pochodzę z Karoliny Północnej, dokładnie z Charlotte.

- Z samego serca Ameryki.
- Mój ojciec jest przedsiębiorcą. Założył firmę transportową i pro... prowadzimy ją rodzinnie. Mam jeszcze młodszego brata. A mama jest pielęgniarką.
- Czyli jednak biznes rodzinny. Pewnie dobrze prosperujący?
- Masz nieco wybujałe wyobrażenia o prowadzeniu firmy. Początki nie są łatwe. Nie opływałem w dostatki, jeśli ci się tak wydaje. – Uśmiechnął się do niej tajemniczo. – A ty? Jesteś taka wojownicza po rodzicach?
- Wojownicza?
- Niewiele dziewczyn marzy, aby pracować w dziale politycznym gazety.
- Moi rodzice też raczej nie marzyli. Oni uciekli z kraju ogarniętego wojną. Chcieli tylko lepszego życia w Ameryce. Trafili do Chicago. Oboje ciężko pracowali. Imali się wszystkiego, łącznie ze sprzątaniami. Do czasu, aż mama zaczęła wypiekać polski chleb i sprzedawać go innym polskim emigrantom. W końcu rodzice założyli piekarnię. Dobrze prosperowała i dzięki niej byli w stanie mnie wykształcić.
- Chcieli lepszego życia? Pewnie i spokojnego? – zadumał się nad słowami Klary. – A ty popierasz teraz wojnę w Wietnamie, która nawet w Ameryce wprowadza niepokój, choć walki toczą się daleko?
- Do czego zmierzasz?
- Nie widzisz sprzeczności?
- Nie, bo Ameryka jest silnym krajem. Kto, jeśli nie ona, ma zwalczyć komunistyczną zarazę?
- Ale tu też ludzie chcą żyć spokojnie, korzystać z młodości, a nie iść w kamasze i ginąć w egzotycznym kraju.

W Klarze wzbierało się coraz więcej złości.

– Wiesz, może ja już pójdę. Widzę, że mnie atakujesz. –  
Wstała, wzięła torebkę i odwróciła się na pięcie.

Marc uniósł się szybko i złapał ją za ramię.

– Zaczekaj. – Spojrzał jej w oczy. – Skończmy już z tą polityką. Możemy rozmawiać na tyle innych tematów.

– Sam tak poprowadziłeś naszą rozmowę.

Skapitulowała jednak. Usiadła obok niego ponownie.

– Masz rodzeństwo? – zapytał.

– Nie. Dlaczego cię to interesuje?

Marc przysunął się do niej. Pachniał świeżą wodą kolońską. Poczuła na swoich wargach jego ciepły oddech.

– Ty mnie interesujesz. Chciałbym cię pocałować...

Klara nie protestowała. Nie wiedziała, co się w niej dzieje i dlaczego tak się zachowuje, ale złość na Marca szybko z niej uleciała. Była ciekawa tego mężczyzny. Świat wokół nich jakby się zatrzymał. W oddali słyszał było syreny, przejechał ambulans lub straż pożarna, ale tu, na tej ławce, wszystko było nieruchome jak na fotografii.

Marc muskał jej usta najpierw delikatnie, potem coraz bardziej zachłannie. Odwzajemniła pocałunek. Był pełen delikatności, a jednocześnie jakiejś niewypowiedzianej tęsknoty.

– Ciężko się od ciebie oderwać. Jesteś jak wciągająca otchłań, pełna słodczy i kojącego ciepła – wyszeptał i pocałował ją jeszcze w czoło.

– Jak otchłań? – Spojrzała mu w oczy, nie kryjąc zdziwienia.

– Tak... żałuję, że nie mogę zastygnąć z tobą w tym pocałunku.

– Możemy przecież jeszcze trochę tu posiedzieć, pochodzić wzdłuż promenady.

– Chciałbym... Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale muszę jutro bardzo wcześnie wstać. Obowiązki...

– Biznes rodzinny?

– Tak. Muszę cię odprowadzić do domu. Jest już późno.  
– Uśmiechnął się.

– Co? Poradzę sobie.

– Nie daj się prosić. – Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

Pojechali taksówką, pomimo prośby dziewczyny o powrót metrem. Marc uparł się, że tak będzie bezpieczniej. Siedzieli w aucie w milczeniu, wśród dźwięków saksofonu płynących z radia. Klara zerkała ukradkiem na swojego adoratora. Musiała przyznać, że był inny niż większość jej kolegów ze studiów. Nie wyczuła od niego woni marihuany, nie nosił długich włosów ani kwiecistych koszul. Po spotkaniu nie wpraszał się do jej mieszkania, co przyjęła z ulgą.

– Nie poddawaj się. Spróbuj zgłosić się do innych redakcji – powiedział na koniec.

– Chyba już wszyscy szefowie działów politycznych w tym mieście odrzucili moją kandydaturę.

– A może „New York Times”?

Klara przełknęła głośno ślinę, gdy usłyszała tę nazwę. Wzięła głębszy oddech.

– To są chyba za wysokie progi jak na moje nogi, jak to mówią Polacy. Poza tym ten tytuł jest... jest... prokomunistyczny.

– Nie, nie jest prokomunistyczny. Po prostu jego obecni szefowie są przeciw wojnie. Przemyśl to.

– Pomyślę nad tym w nocy...  
– Zapraszam cię do kina. Za dwa dni.  
– Na co?  
– Niespodzianka. Zadzwoń – powiedział na pożegnanie, po czym ujął jej dłonie i ucałował je, patrząc jej w oczy. Uśmiechnęła się zaskoczona tym gestem.

Tej nocy w istocie nie spała. Siedziała przy oknie jak nowicjuszką w klasztorze bezsenności i patrzyła na miasto, które też nie mogło zasnąć. Nowy Jork tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku był metropolią rozdartą, pełną młodych ludzi, którzy nie wiedzieli, czy wierzyć przywódcom w garniturach, czy własnym sercom bijącym rytmem buntu.

Myślała nad tym, co powiedział jej Marc o Wietnamie, o swojej chęci do pracy w gazecie. Miała zamiar o nią walczyć. Postanowiła schować nieco emocje i wypowiadać się o wojnie odpowiednio. Marc miał pewnie w tym temacie trochę racji.

Położyła się spać. Chciała wypocząć. Ledwo jednak zasnęła, nadeszły obrazy zburzonego miasta, krzyków, strzałów... Obudziła się spocona.

– Boże, co mi jest? – wyszeptała. – Dlaczego te sny mnie tak często nawiedzają?

W takich momentach miała ochotę zapalić trawkę, by się uspokoić, jak to robiła czasem na studiach. Obiecała sobie jednak, że rzuca ten nałóg.

# Rozdział 4



## Spadający w ciemność

OKOLICE ŁOWICZA, LUTY 1942 R.

WNĘTRZE HALIFAXA ŚMIERDZIAŁO benzyną, potem i metalem. Jastrząb siedział na twardej ławce, a każda wibracja silników przechodziła przez jego kręgosłup jak prąd elektryczny. Pięć par oczu w ciemności – Orawa, Wania, Amurat, Kieł i on sam. Pięciu ludzi, którzy za chwilę mieli spaść z nieba nad krajem, którego niektórzy nie widzieli od półtora roku.

Anglia wydawała się teraz abstrakcją, snem z innego życia. Szkolenie, skoki treningowe, zimne poranki na poligonie – wszystko to należało do świata, w którym istniały jeszcze zasady, porządek, przewidywalność. Tutaj, w brzuchu stalowego ptaka lecącego nad okupowaną przez Hitlera Europą, istniały tylko czarna dziura w podłodze i śmierć w tysiącu odmian.

– Trzęsie tobą, Jastrzębiu. – Warkot silników prawie zagłuszył głos Orawy, ale Jastrząb usłyszał.

– Nie. Kulę się, bo jest mi zimno – skłamał.

– A ja myślałem, że się boisz.

– Nie ma czasu na strach. Trzeba działać.

Orawa pokiwał głową do młodszego kompana, nie wierząc mu ani przez sekundę. Był najstarszy z nich, miał trzydzieści osiem lat, ale twarz miał pooraną zmarszczkami jak pole po ostrzale artyleryjskim. Mówiono, że walczył jeszcze w dwudziestym roku – przeciw bolszewikom pod Warszawą.

Teraz wracał do Polski, żeby mocować się z Niemcami. Między jedną wojną a drugą udało mu się pożyć, założyć rodzinę, którą zostawił gdzieś w Krakowie. Albo może już w grobie.

Wania coś mruczał pod nosem. Modlitwę. Jastrząb nie wiedział, czy to katolickie pacierze, czy prawosławne litanie. Wania wszak pochodził gdzieś ze wschodu, może z Wileńszczyzny, a może jeszcze dalej. Nie mówił dużo o sobie. Nikt z nich nie mówił. Wspominanie przeszłości było luksusem, na który nie mogli sobie pozwolić.

Kieł patrzył w okno samolotu, jakby zastygł. Jakby oddzielił się od swojego ciała, próbując nie czuć nic.

Amurat spał. Albo udawał, że to robi. Siedział z głową opartą o metalową ścianę, oczy miał zamknięte, oddech równy. Jastrząb zazdrościł mu tej umiejętności, możliwości wyłączania strachu jak lampy. Sam nie spał już dwie noce. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział ziemię zbliżającą się z zawrotną prędkością, czuł uderzenie, słyszał łamanie własnych kości.

Nie czuł się gotowy do tego skoku. Gdy przystępował do szkolenia, zapewniano go, że skoków próbnych odbędzie kilkadziesiąt. Tymczasem dane mu było wykonać trzy. Trzy przeklęte skoki, po których teraz przychodziło mu spadać nad Polskę, w ciemność, w śnieg, w niewiadomą.

Brytyjski nawigator pojawił się w przejściu, chwiejąc się przy każdej turbulencji.

– *Denmark!* – krzyknął, pokazując na dół. – *Bornholm in ten minutes!*

Dania. Jastrząb wyobraził sobie śpiące miasta pod nimi, ludzi w ciepłych łóżkach. Ci nie wiedzieli, że nad ich głowami leci samolot z Polakami, z których większość trzęsła

się ze strachu jak osika na wietrze, ale nie mogła się do tego przyznać.

Samolot wykonał łagodny skręt. Jastrzębiowi żołądek podszedł do gardła. Znowu to zimno – nie na skórze, ale w środku, w miejscu, gdzie powinno być serce. Strach miał konsystencję lodu.

– Bornholm – powiedział Orawa, jakby nazwa wyspy była zaklęciem. – Ostatni kawałek, zanim...

Nie dokończył. Nie musiał. Wszyscy wiedzieli, co chciał powiedzieć. Zanim przestrzeń powietrzna stanie się niemiecka. Zanim każdy pocisk przeciwlotniczy będzie mógł zamienić Halifaxa w płonącą kulę metalu. Zanim jedynym wyjściem będzie czarna dziura w podłodze.

Minuty wlokły się jak godziny. Jastrząb patrzył na swoje dłonie. Drżały. Zaciśnął je w pięści, ale drżenie tylko się nasiliło. Miał dwadzieścia cztery lata, ale niekiedy czuł się jak starzec. Kiedy uciekał z Warszawy we wrześniu trzydziestego dziewiątego, wierzył w mundur i honor. Potem były Rumunia, Francja, Anglia. Każdy kraj zostawiał na nim bliźnię. Teraz wracał, ale człowiek, który wyjeżdżał, już nie istniał. Za dużo się wydarzyło. Miał niekiedy wrażenie, że stał się skostniałą maszyną przygotowywaną do wykonywania rozkazów.

Warkot silników zmienił ton. Coś w brzuchu samolotu kliknęło i świsnęło.

– *Fuel tanks* – wyjaśnił brytyjski strzelec pokładowy, gdy dostrzegł ich spojrzenia. – *Extra range*.

Dodatkowe zbiorniki paliwa. Potrzebowali każdej kropli, żeby dolecieć nad Polskę, zrzuć ich i wrócić do bazy. Jastrząb zastanawiał się, czy któryś z brytyjskich lotników

kiedykolwiek pomyślał, że oni nie mają dokąd wrócić. Że ich baza jest wszędzie i nigdzie.

Mieli do wykonania zadanie. Jastrząb w ostatniej chwili zaczął sprawdzać, czy wszystko ma przy sobie. Momentami wydawało mu się, że zgubił gdzieś przesyłki. Zaczął nerwowo dotykać swojego pasa, macać go. Za nim był ukryty worek. Na szczęście był na swoim miejscu, czyli właśnie za pasem kombinezonu. A w nim tkwiło kilka tysięcy papierowych dolarów. Nawet sam dokładnie nie wiedział, ile pieniędzy przewozili. Nauczył się nie pytać.

Nawigator pojawił się znowu, tym razem z mapą.

– *We're over Poland!* – ryknął, ale w jego głosie było coś dziwnego. Niepewność. – *Looking for the drop zone!*

Orawa poderwał się, popatrzył na mapę. Jastrząb widział, jak jego twarz tężeje.

– To nie są Skierniewice – powiedział Orawa po polsku, powoli, jakby słowa były zbyt ciężkie.

– *What?*

– *It's not the right place!* – Orawa przeszedł na angielski.  
– *You need to find the signal!*

Coś uderzyło nagle. Metaliczny trzask rozdarł powietrze. Śpiący dotychczas Amurat uderzył głową o ścianę samolotu i zerwał się na równe nogi.

– *Germans!* – krzyknął nawigator.

Samolotem znów zatrzęsło. Niemcy puścili salwę artylerii. Po kadłubie zaczęły tłuc odłamki pocisków jak grad po blaszanym dachu. Pilot manewrował maszyną. Poczuli gwałtowne pikowanie, które wcisnęło Jastrzębia w ławkę z ogromną siłą. Manewry pomogły uwolnić się od natrętnych świateł i podążających ich śladem pocisków.

Sygnał. Mieli zobaczyć sygnał świetlny z ziemi. Umówili się na trzy krótkie błyski, jeden długi. Ktoś tam, w ciemności, w śniegu, w okupacji, czekał na nich z latarką. Jastrząb wyobraził sobie tego człowieka – może w płaszczu zbyt cienkim na zimę, może z żoną i dziećmi w domu, może już martwego, bo Niemcy odkryli spisek.

Samolot zakręcił. Potem znowu. I znowu. „Krażymy nad Polską jak jastrząb nad zdobyczą – trafny pseudonim” – pomyślał gorzko Jastrząb. Każda minuta w powietrzu to większe ryzyko. Niemieckie reflektory przeciwlotnicze, myśliwce nocne.

– Bierzemy Wisłę po lewej stronie! – wrzeszczał nawigator łamaną polszczyzną. – Lecimy nad Toruń! Z Torunia nad Skierniewice!

– Chyba będziemy skakać na dziko! Temu Angolowi coś się pomyliło! – odezwał się Kiel.

– Byle szybciej – mruknął Wania. – Już dłużej nie da się znieść tego oczekiwania i zimna.

Skok na dziko. Bez komitetu powitalnego. Bez wsparcia. Bez wiedzy, gdzie dokładnie są. Mogli spaść trzy kilometry od niemieckiej jednostki. Mogli polecieć na dach jednostki Gestapo. Mogli wylądować w jeziorze i utonąć pod ciężarem ekwipunku albo zawisnąć gdzieś w konarach leśnych drzew, zaplątać się w spadochron i udusić.

– *Check your gear!* – rzucił brytyjski nawigator.

Jastrząb poczuł obce dłonie na swojej uprząży. Klamra, lina, zapas. Wszystko sprawdzone setki razy, ale teraz każdy ruch wydawał się nierealny, jakby dotyczył kogoś innego. Siedział z boku i patrzył, jak jego ciało przygotowuje się do skoku.